

W pewnym miasteczku na ryneczku był lokal o nazwie „Mariolka”. Składał się on z dwóch części: kawiarni i restauracji. Do kawiarni zachodziły przeważnie młode parki, żeby posiedzieć przy kawie i potrzymać się pod stolikami za kolana. Restaurację odwiedzali nieliczni turyści chcący zjeść ruskie pierogi lub miejscowe szychy, żeby opić udane przekręty. Mariolka była więc eleganckim lokalem.

Jej przeciwieństwem był znajdujący się po drugiej stronie rynku bar „Murzynek”, gdzie daniem głównym było piwo. Zachodzili tam po cotygodniowych jarmarkach okoliczni rolnicy, turyści nie lubiący pierogów i znaczna część męskiej populacji miasteczka. Oczywiście więc było, że Murzynek był bardziej lubiany i popularny. Nawet figura świętego Floriana stojąca na środku rynku patrzyła z sympatią w jego stronę, mając najwyraźniej Mariolkę w... najniższym poważaniu.

W barze królowała stukilogramowa Krysia, która nalewała piwo, wycierała stoliki, opróżniała popielniczki, a w razie potrzeby waliła ścierką po głowach niesubordynowanych gości. Dzięki niej w lokalu panował porządek, atmosfera wzajemnego zrozumienia i życzliwości. Jedyńm, który widział w Murzynku siedzibę zła, był miejscowy kapral milicji zwany „policmajstrem”. Milicjant ten zawsze podczas służby wchodził do lokalu, z dłonią na rękojeści pałki stawał w drzwiach, a na twarzy miał wypisane wyzwanie: „No! Który mi podskoczy?” Oczywiście nikt nie miał ochoty na skakanie, więc wszyscy siedzieli cicho przy swoich stolikach. Policmajster postął, porozglądał się

i wychodził. To powtarzało się prawie codziennie i stało się częścią barowego życia.

Stałym, aczkolwiek nieczęstym gościem Murzynka był Wacek. Mieszkał w wiosce oddalonej o kilkanaście kilometrów, więc zaglądał tam jedynie kilka razy w miesiącu. Mimo to znał prawie wszystkich bywalców baru i przegadał z nimi przy piwie wiele godzin. Przegadał - to za dużo powiedziane, bo właściwie był biernym słuchaczem mówiącym tylko: „Aha”, „No”, „Naprawdę?”. Mówili ci, którzy mieli coś do opowiedzenia. Na przykład Edek, o bracie z którym się wiecznie kłócił, Franek, o szefie co okradał firmę, a innym nie pozwalał, lub Maniek, który zawsze łapał największe ryby i znajdował grzyby wielkości talerzy. Wacek, słuchając tych opowiadań, marzył, żeby i on też kiedyś mógł opowiedzieć coś tak ciekawego, co by wszystkich zatkało. W jego życiu jednak nic dziwnego się nie wydarzało, więc i szanse na zaskoczenie czymś słuchaczy były niewielkie.

Aż nadszedł ten dzień, gdy Wacek mógł się popisać. Wszedł do lokalu, starannie zamknął drzwi, wytarł buty na wycieraczce i podszedłszy do baru, głośno powiedział do barmanki:

– Krysieńko kochana, nalej mi szybciotko piwka, bom się wczoraj tak zdenerwował, że aż do dziś mnie trzyma.

Mimo gwaru goście usłyszeli to rozpaczliwe zamówienie i zaraz zrobili Wackowi miejsce przy stoliku. On usiadł, pociągał solidnie z kufla i zagapił się w przestrzeń. Nie wiadomo, jak długo trwałby w takim stanie, gdyby ktoś niecierpliwie nie zapytał:

– No! Wacek, co ci jest? Stało się coś?

– A chłopcy, jak nie umiecie bić świń, to się do tego nie bierzcie – odpowiedział. – A szczególnie do krótkoryjek.

W barze zaległa cisza jak makiem zasiał, a Wacek zaczął swoją opowieść:

– Szwagier poprosił mnie, żebym mu pomógł przy świniobiciu i umówili my się na wczoraj. Świnia była wielka jak mała krowa i do tego jeszcze krótkoryjka.

– To co, że krótkoryjka? – wtrącił się któryś ze słuchaczy.

– To nie wiesz? – zdziwił się Wacek. – Świnie są długoryjki i krótkoryjki. Długoryjki mają długie ryje, ale słabe czoła. Pukniesz taką byle czym i zaraz ogłuszysz. A krótkoryjki mają króciutkie ryje, ale czoła jak z betonu. Jak nie wiesz gdzie, to możesz walić ile chcesz i nie ogłuszysz. Kwiku narobi, a nawet wyrwać się może i pogryźć. Do krótkoryjki trzeba fachowca, żeby palnął obuchem gdzie trzeba.

Tu Wacek przerwał i pociągnawszy nieco z kufla, milczał.

– No, gadajże co dalej – ponaglali słuchacze.

– No i wyprowadzili my świnie na podwórko. Szwagier miał ją dźgać, ja trzymałem za linkę u nogi, a głuszyć miał sąsiad szwagra. Wziął siekierę i zamiast na świnie patrzył na mnie. Przestraszyłem się, że to mnie chce palnąć i go spytałem: „Gdzie będziesz walił?” To on mi na to, że tam gdzie patrzy. „To patrz na świnie, nie na mnie” – powiedziałem. Wtedy on odpowiedział, że patrzy na świnie, ale ja wyraźnie widziałem, że na mnie. Już miałem puścić tę cholerną linkę, ale na szczęście szwagier kapnął się o co chodzi i mi wytłumaczył: „Nie widzisz Wacek, że on jest zezowaty? Patrzy na świnie, a tobie się zdaje, że na ciebie”. Uspokoilem się trochę i dalej już wszystko było dobrze. Zezowaty trafił za pierwszym razem, szwagier fachowo zakłuł świnie i potem poszli my na jednego przed dalszą robotą. Wrócili my po małej chwili, a świni nie było.

– E! Gadasz - wtrącił się ktoś ze słuchaczy. - Zabita swinia zwiąła?

– A zwiąła - obruszył się Wacek. - Szukali my jej długo po krzakach, aż znaleźli w bagnie. Nie żyła i kruki już na niej siedziały.

Przy stolikach zapanował gwar. Jedni wierzyli w Wackową historię i dopytywali o szczegóły, inni nie wierzyli i zaczęli się z niego nabijać. Wszyscy jednak mówili tylko o tym, a Wacek tymczasem spokojnie sączył piwo i był z siebie bardzo zadowolony. Opróżniwszy kufel, włożył czapkę i na odchodne powiedział:

– Wiercie mi chłopcy albo nie, ale jak nie umiecie, to się do krótkoryjek nie bierzcie.

Podczas kilku następnych wizyty w Murzynku Wacek był jeszcze wypytywany o bicie świń, ale później sprawa ucichła i znowu stał się tylko słuchaczem opowiadań innych. Dokuczało mu to, tym bardziej że zaznał już smaku bycia w centrum zainteresowań i bardzo mu się to spodobało.

Każda zła passa ma jednak swój kres i któregoś dnia Wacek wszedłszy do baru, zawołał do barmanki:

– Krysiu złota, nalej mi piwa, bo chyba zaraz się rozplacę.

Goście zaskoczeni tym wyznaniem ucichli, a Wacek już bez żadnej zachęty od razu zaczął opowiadać:

– Pewno wiecie, że mój stary hoduje gołębie - pocztowe, takie co się je na loty wystawia. Niedawno były

gołębiarskie zawody aż gdzieś na Mazurach i ojciec wysłał tam swojego najlepszego gołębia - siwka z czarną szyjką. Ptak miał wrócić tydzień temu, ale nie wrócił. Już myśleli, że go jakiś jastrząb po drodze ubił, aż tu dziś rano wiecie co się stało?

Tu Wacek przerwał, a w oczach zakręciły mu się łzy.

– No, gadajże co? – ponaglali wszyscy.

– Jechałem rowerem do Kamienic i nagle na szosie zobaczyłem gołębia. Jedno skrzydło miał opuszczone i szedł tak, katulając się z boku na bok. To był ojcowy siwek. Podniosłem go i zobaczyłem, że skrzydło było złamane, a pazurki miał pościerane prawie do końca. Potem ludzie z Kamienic mi powiedzieli, że już przedwczoraj widzieli go jak szedł po asfalcie. To cud boski, że nikt go nie przejechał. Taki biedaczyna był wierny, że jak nie mógł lecieć, to szedł pieszo. Zabrałem go do domu, ale trzeba było go zabić. Pazurki mu przecież nie odrosną, a tak chociaż rosół będzie. Ojciec siedzi w chałupie i płacze, a ja przyszedłem tu, żeby na ten jego smutek nie patrzeć.

W barze zrobiło się cicho i wszyscy pospuszczali nosy nad kuflami.

– Wacek, a ten gołąbek to był długoryjek czy krótkoryjek? – wyrwał się jakiś złośliwiec.

– A dajże spokój – ofuknęli go wszyscy. – Nie widzisz, że chłopu płakać się chce. Jak nie wierzysz, to nie wierz, ale z ludzkiej krzywdy się nie śmieję.

Dowcipniś zamilknął, a po barze rozlał się wielki żal po gołąbku i współczucie dla Wacka. Wszyscy mu stawiali, w wyniku czego przegapił ostatni autobus i musiał potem łapać okazję, żeby wrócić do domu.

Ów smutek wisiał nad Murzynkiem jeszcze jakiś czas, przynosząc Wackowi kolejne fundowane piwa. Z czasem jednak wszystko się rozwiało, a Wacek ponownie został zdegradowany do roli słuchacza i potakiwacza. Znowu musiał wysłuchiwać opowiadań innych, które wydawały mu się tak nudne i nieciekawe jak nigdy dotąd. Dlatego rzadziej zaglądał do baru, ale przez to czuł się jakby chory i nikomu niepotrzebny.

Gdy pewnego dnia wybrał się jednak do Murzynka, wszedł chyłkiem, poruszał się wolniej niż zwykle i przy barze cicho złożył zamówienie:

– Krysieńko, nalej mi jak zawsze, bom strasznie zmęczony.

To niezwykle zachowanie nie uszło uwagi gości i zaraz któryś z nich powiedział:

– Wacek, marnie coś wyglądasz. Choryś? Siadaj.

Wacek zwałił się na podsunięte mu krzesło i odsapnąwszy nieco zaczął opowiadać:

– Chłopy, dopiero co z cmentarza wracam. Trupa my przenosili.

W barze zapanowała grobowa cisza i wszystkie oczy zwróciły się na niego.

– Jeden taki - nie powiem kto, bo bym mu koło dupy zrobił - potrzebował przenieść dziadka na inny cmentarz. Nie wiem, po co mu to było, ale dawał tysiąc za wykopanie trupa i załadowanie go do auta. No

to dogadali my się z kolegą i poszli w nocy na cmentarz, gdzie czekał już tamten facet. Pokazał nam gdzie i zaczęli my kopać. Jak my już byli w połowie, to on nagle powiedział, że się pomylił i że to nie ten grób. Kolega rzucił szpadel i już chciał iść, ale jakoś go zatrzymałem. Zasyпали my to co rozkopali i zaczęli kopać w tym drugim miejscu. Chłopy, to nie jest tak łatwo wykopać trumnę. Inne groby blisko, miejsca nie ma i do tego ciemno. Jak my już zaczęli ją wydzierać, wtedy jakaś deska pękła i smród się zrobił jak cholera. Kolega znowu chciał uciekać, ale mu nie dałem. Dobrze że tamten facet miał taki fest worek z brezentu i trumnę udało się do niego wsadzić. Potem jeszcze trzeba było wszystko dokoła posprzątać, żeby nikt się nie kapnął, że coś było ruszane. No i tak zeszło nam do świtania.

Przez chwilę nikt nic nie mówił, a potem ktoś powiedział:

- Wacek, czyś ty zwariował, żeby brać taką robotę? Toż to grzech groby rozwalać.
- Pięć stówek drogą nie chodzi – zaczął tłumaczyć się Wacek, ale zaraz go zagłuszono.
- Umarlakom wieczne odpoczywanie zakłócać, poświęcaną ziemię po nocy rozkopywać i jeszcze forszę za to brać! Hańba!
- Tyś katolik?! Tyś Żyd nie katolik!
- Tyś teraz powinien przed ołtarzem krzyżem leżeć i Boga o zmiłowanie prosić, a nie piwo tu chlać!

Ludzie krzyczeli jeden przez drugiego, a niektórzy nawet wstali od stolików i ruszyli w stronę Wacka. Szykowała się bójka.

Na szczęście nad wszystkim panowała Krysieńka. Ze ścierką w dłoni wytoczyła zza baru swoje sto kilo i krzyknęła, aż szyby zadzwoniły:

- Cisza chłopy! Nie robić mi tu burdelu, bo szmatą po łbach zdzielę! Spokój, mówię!

Potem natarła na Wacka swoim rozłożystym biustem i warknęła:

- A ty, wypieprzaj stąd pókim dobra. Wypieprzaj i więcej się tu nie pokazuj.

Wacek najszybciej jak umiał doskoczył do drzwi i wypadł na ulicę - prosto w objęcia policmajstra.

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelkiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

Marian, dodano 18.03.2023 09:44

Dokument został wygenerowany przez www.portal-pisarski.pl.